

O nauce i naukoznawstwie

Wywiad z prof. dr hab. Wojciechem Gasparskim, przewodniczącym Komitetu Naukoznawstwa Polskiej Akademii Nauk

– Zmiany legislacyjne rozpoczęte w latach 1989–1990 objęły obszar organizacji nauki i szkolnictwa wyższego. W ich wyniku nastąpiły realne przeobrażenia w funkcjonowaniu obydwu sfer. Czy, zdaniem Pana Profesora, z perspektywy kilku lat, które upłynęły od momentu zainicjowania reform w nauce, ich kierunek można oceniać pozytywnie?

– Oczywiście, uważam, że zmiany prawne poszły we właściwym kierunku. Proszę zwrócić uwagę, że transformacja systemu politycznego i gospodarczego musiała wpłynąć na przeobrażenia w takich dziedzinach działalności społecznej jak nauka i szkolnictwo, ponieważ te sfery są wyraźnie powiązane z życiem społecznym i gospodarką kraju oraz z przygotowywaniem wysoko kwalifikowanych kadr dla wszystkich działów gospodarki. Demokratyczne zmiany związane z transformacją, tworzenie społeczeństwa otwartego, obywatelskiego, dążenie do decentralizacji, przybliżenie miejsc decyzyjnych do grup, które są najbardziej kompetentne (zasada subsydiarności), wolny rynek – te kroki musiały być podjęte, by sposób zorganizowania życia społecznego i politycznego został maksymalnie przybliżony (w danych warunkach) do sytuacji krajów demokratycznych, poprawnie zorganizowanych, tj. do zbliżenia do kultury Zachodu. Wszystkie wymienione przedsięwzięcia wprowadzono szybko. Tempo wprowadzenia tych zmian było bardzo istotne, gdyż pozwoliło na uniknięcie tego, co spotkało np. Bułgarię, gdzie opóźnienie reform doprowadziło do dramatu. Kiedy trzeba przeprowadzić zabieg chirurgiczny, należy to uczynić szybko i radykalnie, powoduje to wówczas małe straty, a przynosi duże zyski.

Nie można było nie europeizować sposobu zorganizowania działalności naukowej, nie przywracając jej normalności. Inną sprawą jest to, czy wszystkie elementy reformy udało się zrealizować w taki sposób, w jaki były one zamierzone. Przygotowanie tego rodzaju zmian wymaga zazwyczaj czasu, pewnych modyfikacji w trakcie realizacji, mamy bowiem do czynienia z żywym organizmem, szczególnie wrażliwym w przypadku działalności naukowej. Tu, jak w niewielu innych sferach, liczy się tradycja i nie ma ona charakteru kulturowania czegoś przy odświętnych okazjach, ale jest normalnym składnikiem funkcjonowania, bez niej nie może dobrze funkcjonować edukacja, nie może być spełniana misja szkoły wyższej, nie może być właściwego klimatu dla prowadzenia badań naukowych.

– Czy to oznacza, że zgadza się Pan Profesor z kierunkiem reformy, aczkolwiek niektóre jej elementy nie zostały zrealizowane, czy też twierdzi Pan, że można było przeprowadzić tę reformę w inny sposób. Przecież odmian demokracji, czy odmian gospodarki rynkowej, jest wiele. Także rozwiązań w sferze badań i nauczania może być wiele...

– Odpowiem na to słowami empiryka: uważam, że jeżeli się zamierza przeprowadzić jakąś reformę w danej sytuacji społecznej, wówczas to, co zostało zrealizowane świadczy, że uczyniono to, co było w tej sytuacji możliwe. Po pierwsze, byli w Polsce inicjatorzy reformy, *change-agents*, sprawcy zmian. Po drugie, ci ludzie dysponowali informacjami o tym, jakie są możliwe rozwiązania stosowane w rozmaitych krajach, działali wedle swej najlep-

szej wiedzy i woli, dokonywali wyborów w krótkim czasie. Postawili oni na pierwszym miejscu zadanie stworzenia wszystkim, którzy są gotowi, możliwości zabiegania o środki na prowadzenie badań naukowych, czyli zdecydowali o wprowadzeniu wolnego rynku ubiegania się o granty badawcze. Przypomnijmy, że do tego, by dochodzić do osiągnięć na skalę liczącą się na świecie, nie trzeba być pracownikiem uniwersytetu czy innej placówki naukowej, można np. skromnie pracować w Zurichu w urzędzie patentowym i, mając 25 lat, dokonać odkrycia, które wstrząśnie światem, choć wcale – w okresie, w którym to się robiło – nie było się docenianym. Chodzi więc o to, by potencjalni Einsteinowie mogli się ubiegać o środki, niezależnie od miejsca swego zatrudnienia. To był najistotniejszy element reformy. Szedł on w parze z demokratyzacją dostępu do procesów decyzyjnych, demokratyzacją gospodarki, otwarciem wolnego rynku. Chodziło o stworzenie wszystkim równych szans. Co można było zrealizować w tym okresie? Tylko to, na co było społeczne przyzwolenie lub przynajmniej nie było sprzeciwu.

– Często mówi się, że nowe regulacje nie spowodowały najważniejszych zmian instytucjonalnych, gdyż nadal pozostały trzy odrębne piony nauki: szkolnictwo wyższe, instytuty resortowe i instytuty Polskiej Akademii Nauk. Czy, zdaniem Pana Profesora, taki sąd jest uprawniony, a jeśli nie, to jakie w związku z tym powstają problemy?

– Nie podchodziłbym do tego zagadnienia od strony rozważań na temat istnienia pionów nauki, ale „od dołu”. Wydaje mi się, że dobrze postawione pytanie powinno być pytaniem prakseologicznym: jakie cele mamy osiągać? Takie stawianie problemu, o jakim pani wspomniała, wynika z ciągłego panowania mentalności biurokratycznej. Kwestia istnienia trzech odrębnych pionów nauki jest sprawą wtórną. Odpowiadamy tutaj na pytanie, jak jest scalana działalność badawcza, jeśli musi być scalana. Tymczasem podstawowe pytanie brzmi: jakiemu celowi mają służyć organizacje zajmujące się kształceniem akademickim i badaniami naukowymi?

Zacznijmy od tego, o czym już mówiliśmy – istnieją ludzie utalentowani, zdolni, wykształceni, pasjonujący się pewną problematyką. Ci ludzie stanowią bogactwo naszego kraju i nie tylko kraju. To nie jest czcza deklaracja, że nauka jest międzynarodowa. Zwłaszcza w – jak to się zwykle nazywa – badaniach podstawowych, czyli tam, gdzie chodzi o odkrywanie nowych twierdzeń, tworzenie nowych praw, wyjaśnianie nowych zjawisk czy wyjaśnianie pewnych zjawisk w nowy sposób, eksplorację natury, najważniejszą sprawą jest kwestia talentu, środowiska, w jakim uczoney może się rozwijać, klimatu społecznego niezbędnego dla rozwoju intelektualnego, dla uprawiania dyskusji naukowej. Ważna jest także kwestia wyposażenia, infrastruktury, czyli zasobów, jakie są do tego niezbędne. Można jeszcze powiedzieć o potrzebie bodźca intelektualnego, jakiego dostarcza samo środowisko naukowe, w którym się działa; z drugiej strony, takich bodźców dostarcza aktywna intelektualnie młodzież, z którą badacz się kontaktuje, prowadząc z nią zajęcia uniwersyteckie: wykłady, ćwiczenia, laboratoria, seminaria. Można jeszcze wiele dodać, choćby publikacje, na których łamach toczy się dialog naukowy, co jest warunkiem koniecznym rozwoju nauki.

Kolejne pytanie brzmi następująco: gdzie i w ramach jakiej formy zorganizowania na wyższych szczeblach struktury organizacyjnej uzyskuje się takie miejsca, nisze, w których ten rozwój może przebiegać najefektywniej? Tradycyjnie ów rozwój następuje na uniwersytetach. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że wśród ludzi zdolnych, utalentowanych, pasjonujących się nauką, są i tacy, którzy nie czują specjalnego powołania do działalności dydaktycznej, zwłaszcza audytoryjnej, do prowadzenia wykładów dla tłumu słuchaczy, są nato-

miast gotowi prowadzić taką działalność kameralnie. Prowadzone przeze mnie *Collegium Invisibile*, a w uczelniach opieka nad studentami w ramach indywidualnego toku studiów, stanowią potwierdzenie faktu, jak wielu wybitnych uczonych chce prowadzić (a także prowadzi z dużą przyjemnością i zaangażowaniem) zajęcia typu tutorialnego, podczas których, kontaktując się z utalentowaną młodzieżą, pomaga w rozwoju zdolnych studentów, uzyskując dodatkowo bodźce dla własnego rozwoju. Tacy uczeni – nie musząc prowadzić masowych zajęć dla studentów – będą efektywniej prowadzić działalność badawczą w instytutach i kształcić młodą kadrę doktorancką. Dla nich i do tego typu działalności potrzebne są instytuty badawcze, placówki innego typu niż szkoły wyższe. Instytuty badawcze potrzebne są także z innych powodów. Niektóre dziedziny nauki i rodzaje badań wymagają bardzo drogiej, unikatowej aparatury oraz stworzenia specjalnych warunków, w których przebiegają procesy eksperymentalne. Warunki te mogą być tworzone tylko jednorazowo, nie można ich powielić w rozmaitych ośrodkach uniwersyteckich, bo nas na to nie stać, zresztą światowa nauka też nie może sobie na to pozwolić. CERN jest tylko jeden, w Szwajcarii, a nie w każdym kraju. Potrzebne są też ośrodki tzw. *advanced studies* i one wymagają innego rozwiązania. Ze względu na prestiż, jakim się cieszą niektóre placówki, choćby Polskiej Akademii Nauk, można uznać, że są to właśnie takie ośrodki.

Inne problemy odnoszą się do badań, które w książce Michela Gibbonsa i jego kolegów pt. *The New Production of Knowledge* zostały nazwane „drugim sposobem tworzenia nauki”. Chodzi o powstawanie wiedzy naukowej w placówkach związanych z laboratoriami przemysłowymi i jednostkami badawczymi. Przy rozróżnieniu wiedzy na „wiedzieć że” i „wiedzieć jak”, placówki te tworzą wiedzę „jak”. Ten typ wiedzy jest bardzo istotny, jej konkluzywnym zakończeniem nie jest teoria czy twierdzenie naukowe, ale ich ucieleśnienie, czyli – jak napisał Peter Drucker w *Postcapitalist Society* – wiedza w pigułce, którą łykamy, gdy coś nam doskwiera. Z kolei jednak wszystko to, co ma być praktycznie użyteczne, musi się znajdować bardzo blisko miejsca, w którym nastąpi owo ucieleśnienie w materialnym wyrobie, musi być bezpośrednio powiązane z wytwarzaniem. Także tutaj na użytek tej wiedzy prowadzone jest kształcenie, prowadzą je uczeni łączący umiejętność rozwiązywania problemów praktycznych z kształceniem specjalistów, którzy będą mogli ich zastąpić lub którzy będą mogli wdrażać opracowane rozwiązania. Dotyczy to uczelni typu ekonomicznego, politechnik, akademii medycznych, wszystkich tych szkół wyższych, które prowadzą działalność edukacyjną w postaci klinik (*notabene* w Polsce jesteśmy przyzwyczajeni, że nazwa „klinika” jest związana z medycyną, na Zachodzie kliniki dotyczą np. inżynierii, np. w Claremont w Kalifornii zetknąłem się z kliniką inżynierską). Są to miejsca uprawiania wiedzy, którą zajmują się refleksyjni praktycy, nie tylko prowadzący działalność praktyczną, ale także zdolni do refleksji nad nią, a owa refleksja jest – poza doświadczeniem i studiami teoretycznymi – trzecim, bardzo ważnym źródłem wiedzy. Nie można prowadzić refleksji nad działalnością praktyczną bez uprawiania tej działalności. Trzeba być lekarzem, by być dobrym profesorem medycyny klinicznej, nie można być dobrym teoretykiem techniki, jeśli się nie uprawia jakiegoś rodzaju inżynierii, nie można być dobrym teoretykiem działalności gospodarczej, jeśli się jej nie prowadzi. Innymi słowy, ów pierwszy rodzaj tworzenia wiedzy uniwersyteckiej – działalność naukowa – idzie „od góry”, pierwotne jest tu zainteresowanie nauką, teorią i rozmaitymi przedsięwzięciami intelektualnymi, dla tej działalności ważne są odpowiedni klimat oraz ośrodki naukowe. Drugi rodzaj wiedzy jest czymś innym; w pierwszym przypadku wiedza odkryta może służyć zastosowaniu, w drugim – wiedza jest „nadbudowy-

wana” nad praktyką, dla niej ważna jest gleba, na której owa wiedza wyrasta. A to, czy całość nauki będzie ujęta w jakiegokolwiek pionie, czy nie, zależy z kolei od tego, co będzie sprzyjać efektywnej działalności uczelni. Można sobie wyobrazić szkoły wyższe całkowicie niezależne i prywatne, które będą tylko w najogólniejszym kształcie zawiadywane ramami legislacji państwowej – takim minimum zorganizowania, które w każdym zorganizowanym społeczeństwie jest potrzebne jako całości złożonej z fragmentów, by efekty działalności tych uczelni były porównywalne, żeby środki finansowe, którymi państwo chce wspomagać rozmaite rodzaje działalności, były rozdzielane wedle zasad uznanych za sprawiedliwe społecznie. Ale to wywiera tylko pośredni wpływ na rozwój nauki i edukacji, ważniejszy wpływ ma klimat i to wszystko, o czym mówiliśmy wcześniej.

– Wiąże się z tym kolejny problem – jakie zmiany w szkolnictwie wyższym należałoby kontynuować, a jakie zainicjować?

– Nie chciałbym uzurpować sobie prawa do wypowiedzania kategoriicznych sądów, nie jestem generalnym projektantem zmian. Pragnę jednak wspomnieć o kilku sprawach, które zdają się być ważne. Jeśli mówimy o szkolnictwie typu uniwersyteckiego, to pouczające może być spojrzenie na inne kraje – żeby pozostać przy rozwiązaniach europejskich, mamy dwa rodzaje rozwiązań: rozwiązanie umownie zwane niemieckim oraz rozwiązanie brytyjskie. Rozwiązanie niemieckie charakteryzuje się tym, że obok uniwersytetów, jako uczelnie akademickich, istnieją szkoły wyższe o charakterze zawodowym. Gdyby te pierwsze, akademickie, traktować jako spełniające warunki, o których mówiliśmy na początku – czyli miejsca, gdzie kształcą się kadrę przez uczonych zajmujących się badaniami podstawowymi – to w tych drugich, zawodowych, mielibyśmy do czynienia z kształceniem na rzecz praktyki oraz tworzeniem wiedzy drugiego rodzaju. Stosunkowo niedawno w Wielkiej Brytanii właściwie jednym zabiegiem przekształcono wszystkie kolegia i politechniki, nadając tym instytucjom nazwę uniwersytetów. Uczelnie te były inne niż polskie politechniki, miały charakter niemieckich wyższych szkół zawodowych, ale zajmowały się nie tylko działalnością techniczną, lecz wielodyscyplinową, podczas gdy szkoły niemieckie są zazwyczaj wyspecjalizowane (np. techniczne lub ekonomiczne). Ciekawe, że zabieg ten nie wywołał protestów i buntu. Być może doszły do głosu jakieś względy prestiżowe, konieczność dowartościowania tych ośrodków, może wiąże się to z treścią *White Paper* z 1993 r., w którym położono nacisk na przewyżczenie – obserwowanego z niepokojem przez Brytyjczyków – procesu obniżania się rangi i pozycji brytyjskiej nauki w nauce światowej, zwłaszcza w stosunku do nauki amerykańskiej. Może chodziło o to, by przez zabieg organizacyjny profesorowie tych uczelni stali się profesorami uniwersyteckimi?

Jakie zmiany są potrzebne w Polsce? Otóż jest niezmiernie istotne, by pamiętać, że wszystkie zabiegi reorganizacyjne, jakich doświadcza nauka w różnych krajach, są związane z powstawaniem społeczeństwa wiedzy, o którym pisze Peter Drucker; społeczeństwa, które rozumie, że współcześnie podstawowym zasobem jest nie praca, nie kapitał i zasoby naturalne, ale wiedza. Jeszcze przed Druckerem Polak, ojciec profesor Józef Maria Bocheński (podczas wykładu wygłoszonego w 1985 r. w jednym z banków w Zurichu) w swoim przyczynku do filozofii przedsiębiorstwa przemysłowego stwierdził, że istotą tego przedsiębiorstwa są: kapitał, praca i *wynalazek*, czyli pomysł. Nasze zabiegi reorganizacyjne powinny być ukierunkowane na to, byśmy jak najszybciej stali się społeczeństwem wiedzy, byśmy byli w stanie posłużyć się tym najważniejszym zasobem, tzn. wiedzą. Chodzi także o docenianie przez decydentów znaczenia wiedzy dla współczesnego społeczeństwa. I tu, na mar-

ginesie, komentarz: 29 maja 1997 r. odbyła się w rezydencji premiera brytyjskiego wspólna konferencja prasowa Tony Blaire'a i prezydenta USA, Billa Clintona, odbywającego pierwszą, po zmianie rządu w Wielkiej Brytanii, wizytę w tym kraju. Otwierając konferencję, przedstawiono problematykę, którą uznano za priorytetową dla obu krajów. Na pierwszym miejscu zostały wymienione nauka i edukacja.

Wróćmy do głównego wątku naszej rozmowy. Wiedza jako zasób ma to do siebie, że może być wykorzystana niezależnie od miejsca, z którego pochodzi. Potrzebne są takie sposoby kształtowania mechanizmów kształcenia, by edukowani czuli się dobrze wszędzie tam, gdzie wiedza powstaje, by byli obywatelami nauki światowej. Ważna jest także możliwość rywalizowania; nauka nie jest dziś cieplarnią, w której można bez wysiłku spędzić życie, ale areną rywalizacji równie dramatycznej jak na stadionach sportowych: rywalizacji o ograniczone fundusze i miejsca w ośrodkach, gdzie można uprawiać naukę, rywalizacji o dostęp do środowisk, w których można się rozwijać. Trzeba mieć możliwość startowania w konkursach i wygrywania w dobrym klimacie. To jest najważniejsze. Formy rywalizacji są różne dla różnych dyscyplin, specjalności czy szkół.

– Przejdźmy do sfery, w której jest tworzony ten drugi rodzaj wiedzy. Istnieje określona struktura instytucji finansowanych przez państwo, jednostek badawczo-rozwojowych o charakterze branżowym, które odziedziczyliśmy po starym systemie. Co należałoby zrobić w tej dziedzinie? Dużo mówi się o prywatyzacji, komercjalizacji, rekonstrukcji tego systemu jako składnika całej sfery badań naukowych...

– Jest to pytanie podobne do tego, co zrobić ze starym systemem rent i emerytur w Polsce, żeby móc zreformować system emerytalny w taki sposób, by nie zbankrutował dotychczasowy. Jak wprowadzić nowy system, by jednocześnie obecni emeryci na tym nie stracili? Jest to zadanie na miarę Herkulesa. Odziedziczyliśmy pewien system, ale jednocześnie dokonaliśmy transformacji gospodarczej. Mówiliśmy już, że istnieje wiedza „drugiego typu”, której sens polega na jej stosowaniu, która musi być tworzona tam, gdzie będzie praktycznie wykorzystywana. Przecież medyczna wiedza kliniczna nie kończy się na opublikowaniu wyników badań w czasopiśmie medycznym. Ma ona służyć leczeniu pacjentów. W innych obszarach taka wiedza musi być blisko produkcji samochodów, budowy mostów czy budynków, przetwórstwa płodów rolnych, projektowania prawa itd. Wracając do poprzedniego przykładu: podobnie jak w przypadku systemu emerytalnego, z jednej strony mamy do czynienia z kształtowaniem nowego systemu, z drugiej – z pozostałościami systemu starego. Jak dokonać transformacji? Można stwierdzić, że rzecz dotyczy przedsiębiorczości – przedsiębiorczości w praktyce, ale także w prowadzeniu badań, w dążeniu do tego, by to, co się robi, było użyteczne. Pamiętajmy przy tym o jednym – kiedy mówiliśmy o rywalizacji w badaniach podstawowych, to tutaj konkurencja jest „do kwadratu”.

Następnym problemem są elementy wiedzy już istniejącej na świecie. Powstaje pytanie ekonomiczne: co jest bardziej opłacalne – ponowne odkrywanie prochu czy kupienie patentu na proch? O tym decyduje rachunek ekonomiczny. Trudność powstaje wówczas gdy pojawia się problem społeczny ludzi, którzy są zaangażowani w działalność badawczą i w trosce o tych ludzi bardzo często dodaje się argumenty o charakterze merytorycznym, starając się problem ludzki przedstawić jako kwestię merytoryczną.

Oczekiwanie rozwiązań instytucjonalnych, zadanych z góry, oznacza oczekiwanie na jakiegoś czarodzieja. Rozwiązania wprowadzone w jednostkach badawczo-rozwojowych – czyli w instytucjach, w których przedsiębiorczość jest tak poszukiwana, zależą od tego, jak

ludzie zaangażowani w badawczej działalności praktycznej umieją się znaleźć w nowej rzeczywistości. Wiele osób zaangażowanych przez długie lata w placówkach badawczo-rozwojowych bardzo dobrze znalazło się w tej rzeczywistości. Mogę o tym mówić choćby na przykładzie projektantów form przemysłowych. Dobrym przykładem jednostki badawczo-rozwojowej, która potrafiła sobie znaleźć miejsce w nowej rzeczywistości ekonomicznej jest Centralny Instytut Ochrony Pracy.

– Proponuję, byśmy teraz porozmawiali o sytuacji Polskiej Akademii Nauk. Parlament przyjął ustawę o Polskiej Akademii Nauk. Czy istniejące dotychczas kontrowersje, konflikty i antagonizmy między PAN a pozostałymi instytucjami, choćby szkołami wyższymi, mają szanse ulec załagodzeniu w nowej sytuacji legislacyjnej? Czy nowe rozwiązania mogą pomóc w uporządkowaniu stosunków w nauce, by móc stworzyć klimat sprzyjający rozwojowi nauki, powstawaniu *lobby* naukowego?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to złożone pytanie i chyba nikt nie jest w stanie udzielić obecnie na nie odpowiedzi. Pragnę jednak stwierdzić, że o Polskiej Akademii Nauk nie można mówić „jednym tchem”. Trzeba bardzo wyraźnie oddzielić dwie kwestie. Pierwsza to Akademia jako polski odpowiednik Royal Society, korporacja uczonych. W korporacji uczonych pracownicy PAN stanowią poniżej 30%, składa się ona bowiem w lwiej części z naukowców zatrudnionych w uczelniach. W związku z tym czego dotyczą kontrowersje? Moim zdaniem nie kwestii korporacji i nie komitetów naukowych, które są związane z korporacją i wybierane przez samodzielnych pracowników nauki poszczególnych dyscyplin, niezależnie od miejsca zatrudnienia. Rzecz wiąże się z konkurencyjnością placówek PAN, tym, jak są one postrzegane ze względu na warunki pracy – różne w badaniach i różne w dydaktyce. Trzeba pamiętać, iż rzeczywistość jest dla nas taka, jakie znaczenie jej przypisujemy, jak ją postrzegamy. Placówki PAN są postrzegane jako miejsca, w których zatrudnieni są pracownicy naukowcy nie mający obowiązków dydaktycznych, w przeciwieństwie do ogromnie zapracowanych i obciążonych dydaktyką pracowników szkół wyższych. Ta różnica warunków jest zarzewiem konfliktów. W placówkach PAN pracują badacze, którzy przedkładają badania nad dydaktykę. Ci spośród nich, którzy lubią prowadzić zajęcia dydaktyczne i spotykać się z młodzieżą, zawsze mieli możliwość współpracy z uczelniami, prowadzenia zajęć i do tej pory czynią to z powodzeniem. Wielu z nich jest nie mniej zapracowanych niż pracownicy uczelni.

Dodajmy, że placówki PAN w coraz większym stopniu angażują się w różnego rodzaju działalność edukacyjną, i to jest drugi element konkurencyjności. Tam, gdzie się dzisiaj zabiega o studenta (a to zjawisko już występuje w Polsce) kształcenie staje się biznesem, który walczy o klienta na rynku. Ta tendencja będzie się nadal rozwijać, kiedy student będzie płacił czesne, które będzie mu częściowo refundowane przez system stypendialny. Gdy placówka PAN zaczyna prowadzić szkołę, na rynku pojawia się konkurent. Powstaje więc szersze pytanie: czy generalnie popieramy wolny rynek, czy też jesteśmy hipokrytami i powiadamy: niech sobie będzie wolny rynek działalności gospodarczej, a rynek edukacyjny oraz działalność badawcza niech będą traktowane inaczej, niech to będzie rynek regulowany. Jest to pytanie, nad którym warto się zastanowić. Powinni na nie odpowiedzieć politycy edukacyjni oraz przedstawiciele instytucji badawczych. Dobrym forum dla spotkania tych dwóch grup i przedyskutowania tego problemu mógłby być Komitet Naukoznawstwa Polskiej Akademii Nauk.

– Chyba rzeczywiście instytuty PAN są traktowane jako konkurenci na rynku edukacji, choć, paradoksalnie, zarzuca się im jednocześnie, że nie prowadzą dydaktyki. Jedną

z niewielu uczelni działających przy placówkach PAN (*notabene* której wykładowcy, pracownicy instytutów PAN, nie pobierają honorariów za dydaktykę) jest Szkoła Nauk Ścisłych. O ile mi wiadomo, Ministerstwo Edukacji, a ściślej – Rada Główna Szkolnictwa Wyższego – odmawia przyznania jej dotacji na kształcenie. Pojawia się zatem pytanie: czy instytucja publiczna, nie będąca szkołą wyższą, która dobrowolnie podejmuje działalność dydaktyczną i pobiera za nią czesne od studentów, pokrywające jedynie niewielką część ponoszonych kosztów kształcenia (czyli, krótko mówiąc, do tej działalności dołączająca), nie powinna otrzymywać dotacji MEN na kształcenie i na pokrycie kosztów?

– Przy całym szacunku dla Rady Głównej, jest ona bardziej reprezentantem środowiska szkół wyższych niż komisją akredytacyjną. Sądzę, że pozwolenia na działalność edukacyjną powinien dawać strażnik standardów kształcenia. Na Zachodzie takimi „strażnikami standardów” są komisje akredytacyjne.

– W rozwiązaniach obecnej ustawy o Polskiej Akademii Nauk jest wspomniane, że instytuty PAN mogą prowadzić działalność edukacyjną, ale w sprawach regulacji tych kwestii ustawa odsyła do innych przepisów. Moim zdaniem w ten sposób Akademia nie zagwarantowała sobie w pełni realizacji własnych interesów. A może powinna nastąpić nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym i należałoby wprowadzić przepisy, które mówiłyby wprost, że w przypadku kiedy instytuty PAN podejmują działalność edukacyjną, są finansowane z Komitetu Badań Naukowych i Ministerstwa Edukacji tak jak sektor szkół wyższych. W obecnej sytuacji może się zdarzyć, że Akademia będzie miała środki tylko z czesnego.

– Poruszyła pani bardzo ważną sprawę środków. Wkrótce po utworzeniu KBN stwierdziłem, iż występuje pewna niesymetryczność w finansowaniu szkół wyższych i placówek naukowych. Polega ona na tym, że fundusz na działalność statutową uczelni jest przydzielany przez inny organ rządowy niż fundusz na działalność badawczą. Uczelniom fundusze na działalność statutową przyznaje MEN, a środki na badania – KBN. Natomiast instytuty naukowe (zarówno ich działalność statutowa, jak i środki na badania) są finansowane przez ten sam organ – KBN. W związku z tym istnieje pewna asymetria finansowa. Zgodnie z zasadą równego dostępu i równych szans instytucji powinno być tak, że fundusze na działalność statutową w części edukacyjnej są w gestii MEN, a skoro szkoły prywatne mogą prowadzić działalność kształceniową, to nic nie stoi na przeszkodzie, by – na zasadzie polityki równych szans – finansować tę działalność, która by zyskała uznanie przyszłej komisji akredytacyjnej, skoro ową działalność prowadzą instytucje przygotowane do tego merytorycznie i organizacyjnie, tj. instytuty badawcze PAN. Tak, jak dopuszczone jest przez system powszechności grantowych konkursów KBN staranie się wszystkich na równych prawach o środki na badania. Powinna zatem istnieć pełna równość szans. Kto wie, czy nie należałoby utworzyć systemu grantów na działalność edukacyjną na zasadach podobnych do systemu grantów na badania?

– Chciałabym teraz nieco zmienić przedmiot naszej rozmowy. Od 1991 r. w Polsce nie ma odrębnej instytucji zajmującej się problematyką badań nad nauką, naukoznawstwem. Jesteśmy chyba jedynym krajem wśród państw postkomunistycznych, nie mówiąc o krajach zachodnich, w którym nie ma takiej placówki. Istnieje jedynie ośrodek na Uniwersytecie Warszawskim, w którym zagadnienia polityki naukowej znajdują się niemal na marginesie, choćby tylko ze względu na brak kadry. Również eksperci OECD zalecają *explicite* powołanie tego typu placówki. Co Pan Profesor sądzi na temat szans stworzenia w Polsce tego rodzaju instytucji?

– Doświadczenia ostatnich lat powinny ze mnie uczynić skrajnego pesymistę. Po pierwsze, przestały istnieć Zakłady Socjologii Nauki oraz Prakseologii i Naukoznawstwa w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, które były spadkobiercami badań naukoznawczych prowadzonych w Akademii. Po prostu zabrakło badaczy. W bardzo okrojonym kształcie funkcjonuje obecnie Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego Uniwersytetu Warszawskiego. Starania, jakie podjął przed laty Komitet Naukoznawstwa o reaktywowanie placówki naukoznawczej w PAN spełzły na niczym. Na posiedzeniu Prezydium PAN, które odbyło się w kwietniu 1995 r., nie przyjęto, niestety, wniosku Komitetu Naukoznawstwa, działającego przy Prezydium PAN, o powołanie takiego ośrodka. Przyczyny zajęcia takiego stanowiska są dla mnie zagadkowe, tym bardziej że wniosek był przygotowany za wiedzą i – wydawało się – poparciem ówczesnego sekretarza naukowego PAN. Obiecywano dalsze podjęcie kroków w tej sprawie. Dzięki uporowi Komitetu Naukoznawstwa, w raporcie PAN dotyczącym oceny dyscyplin i konieczności ich rozwoju, opublikowanym w 1996 r., przewidyuje się i postuluje utworzenie placówki naukoznawczej w Polskiej Akademii Nauk. Dodajmy do tego jeszcze, że choć nauka o kulturze była wymieniana w dokumentach KBN (np. związanych z wyborami do KBN), to nauka o nauce nie była wymieniana. W 1996 r. po raz pierwszy, w wyniku usilnych starań Komitetu Naukoznawstwa, naukoznawstwo zostało dołączone do listy dyscyplin. Dlatego mój pesymizm jest w pewnym stopniu mitygowany właśnie tą decyzją, która oby była jaskółką zmian. Dodałbym do tego jeszcze, że dążąc do wzmocnienia już istniejącej placówki, tzn. Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego Uniwersytetu Warszawskiego, Komitet Naukoznawstwa rozpoczął rozmowy z prezesem PAN i rektorem UW w sprawie ewentualnego potraktowania Centrum jako międzyresortowej placówki uniwersytecko-PAN-owskiej (co można potraktować jako przykład możliwej integracji szkolnictwa wyższego i PAN; integracja ta może się odbywać na najniższym poziomie, na szczeblu placówek współpracujących ze sobą).

Podstawową trudnością badań naukoznawczych jest brak badaczy. Badania nad nauką (zwane na Zachodzie *science studies*) są prowadzone przez badaczy, którzy już mają jakieś doświadczenie. Placówki naukoznawcze nie dają licencjatu czy magisterium, trzeba się interesować działalnością naukową, być socjologiem, psychologiem lub ekonomistą, którego interesują problemy naukoznawcze, a także w jakimś sensie być filozofem w znaczeniu prakseologicznym, interesować się pewnymi aspektami tego, co Tadeusz Kotarbiński nazywał epistemologią pragmatyczną. Wychowanie takich osób wymagałoby specjalnego wysiłku, programu, wysyłania zainteresowanych badaczy za granicę, choćby do Finlandii. Jest to kraj, gdzie początkowo wydawano lokalne czasopismo „Science Studies”, obecnie stało się ono czasopismem międzynarodowym. Stało się to możliwe dzięki dużemu grantowi przyznanemu przez firmę Toyota (jak widać, biznes uznaje wiedzę naukową i jej tworzenie za zasób numer jeden). Można by wysłać badaczy do Science Policy Research Unit w Uniwersytecie w Sussex czy do innych ośrodków zagranicznych, które się zajmują kształceniem w ramach tzw. *postgraduate studies*. Jest bowiem paradoksem, że w Polsce – gdzie przed 60 laty Maria i Stanisław Ossowsky sformułowali program badań naukoznawczych (w którym napisali wyraźnie, iż studiom nad nauką potrzebna jest wiedza specjalistyczna i praktyczna, taka jak np. wiedza o organizacji przedsiębiorstw przemysłowych) – nie ma takiej placówki, nie realizuje się takiego programu, natomiast program ten został przyjęty w innych krajach, a my dzisiaj musimy się od nich uczyć. O takim programie kształcenia ówczesny Zakład Prakseologii i Naukoznawstwa Instytutu Filozofii i Socjologii PAN myślał

na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zachęcaliśmy wtedy Akademię, by podjęła decyzję w tej sprawie, ale decyzja ta – ze względów politycznych, z powodu stanu wojennego – nie znalazła konkretnego rozwiązania (poza tym, że dla mówiącego te słowa czy dla prof. Klemensa Szaniawskiego oraz innych osób zabrakło miejsca w Komitecie Naukoznawstwa tamtej kadencji). Proponowałbym powrócić do tych starych propozycji i potraktować je serio.

Jeśli ktoś pyta o racje istnienia Polskiej Akademii Nauk, to – tak jak powiedział prof. Tadeusz Pszczołowski (w odpowiedzi na ankietę na temat rozwoju dyscyplin, w tym przypadku naukoznawstwa) – można odpowiedzieć, że podstawowym, najistotniejszym jej obowiązkiem powinno być zajmowanie się nauką o nauce. Studia naukoznawcze powinny być najważniejszą troską Polskiej Akademii Nauk. Troska o stworzenie takiej placówki, o program kształcenia kadry oraz o program rozwoju tej dyscypliny powinna być zadaniem numer jeden, ale nie powinno to być zadanie narzucone z zewnątrz. Taka potrzeba powinna być przestrzegana przez osoby kierujące Akademią Nauk jako ich własne zadanie. Pamiętajmy o tym, że żadna instytucja nie może dobrze realizować swojego celu, jeśli nie jest on celem jej kierownictwa.

– Jeszcze ostatnie pytanie o charakterze praktycznym, o usytuowanie tego typu placówki. Proponował Pan Profesor placówkę o charakterze międzyresortowym, niemniej musiałaby ona być jakoś finansowana (zapewne z budżetu) i wykonywałaby zapewne – zgodnie z zaleceniami ekspertów OECD – pewną część prac o charakterze aplikacyjnym, np. prac na zlecenie KBN. Wobec tego należałoby zagwarantować obiektywność sądów i niezależność takiej placówki od sponsora. W jaki sposób to rozwiązać?

– Odpowiedziałbym na to pytanie dwojako. Po pierwsze, wśród ludzi chorych, wśród pacjentów, jest sporo takich, którzy nie lubią lekarzy wykrywających ich choroby i zalecających zmianę trybu życia, zwłaszcza gdy taka zmiana jest przykra. Ta niechęć pacjenta jest zrozumiała. Jak się od tego uwolnić? Wydaje się, że w sytuacji istnienia instytutu międzyresortowego reakcja czy niechęć jednego z resortów będzie o połowę mniejsza, bo zawsze będzie ten drugi człon. Ale przecież można sobie wyobrazić, że taka placówka byłaby w pewnym sensie instytucją publiczną i miała charakter niezależny. Mamy przecież reaktywowaną, a istniejącą jeszcze od czasów przedwojennych, Kasę im. Mianowskiego. Można by przypisać pewien program właśnie Kasie, która powstała w celach naukoznawczych. Przytaczam to jako przykład rozwiązania. Można utworzyć ciało powiernicze, złożone z reprezentantów rozmaitych instytucji, sprawujące opiekę nad taką placówką, która poza tym funkcjonowałaby jak każda normalna placówka, a wspomniane wyżej ciało dawałoby jej szansę funkcjonowania jako niezależnego eksperta. Dodałbym jeszcze jedną, niezmiernie ważną uwagę, związaną z integracją europejską, o której do tej pory nie mówiliśmy. Wydaje mi się, że istotną sprawą jest rozpatrywanie istnienia takiej placówki w kontekście działań dostosowawczych w Polsce, choćby sugerowanych w *Białej Księdze Nauki i Techniki*, opracowanej przez Biuro Pełnomocnika Rządu ds. Integracji Europejskiej (obecnie: Komitet Integracji Europejskiej). Pragnę zwrócić uwagę, że przy Unii Europejskiej istnieje ciało, które składa się z osób zajmujących się problematyką europejskiej polityki naukowej. To nie są politycy, ale refleksyjni praktycy z placówek naukowych tj. uczelni i instytutów badawczych krajów członkowskich. Ta organizacja to European Science and Technology Assembly. Na jej czele stoi astronom, prof. Jan Borgman z Hagi. Miałem możliwość spotkania się z nim na konferencji, która odbyła się w dniach 16–18 marca 1997 r. w Budapeszcie. Była ona po-

święcona przygotowaniom programu dotyczącego centrów doskonałości (*centres of excellence*) edukacji i badań naukowych w Europie Środkowej i Wschodniej. European Science and Technology Assembly składa się z 15 osób reprezentujących kraje członkowskie Unii Europejskiej. Zaproponowałem, by – podobnie jak dla krajów oczekujących na przyjęcie do NATO, gdzie utworzony został program partnerstwa dla pokoju – dla krajów oczekujących przyjęcia do Unii Europejskiej utworzyć „program partnerstwa dla nauki i techniki”. Profesor Borgman przyjął z zainteresowaniem tę propozycję. Przekazałem o tym informację zarówno prezesowi PAN, jak i przewodniczącemu KBN. Taki program stworzyłby szansę uczestnictwa Polski przynajmniej w formie artykułowania pewnych poglądów. Z drugiej strony, Polska, jako uczestnik takiego gremium, powinna dysponować wiedzą opartą na wynikach badań, których mogłaby dostarczać właśnie placówka naukowicza, o jakiej mówiłem wcześniej. Badania te nie powinny być przygotowywane pośpiesznie, powinny bowiem być dobrze ugruntowane poznawczo.

– **Bardzo dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.**

Rożmowę przeprowadziła *Julita Jabłeczka*